

Teksty Drugie 2007, 1-2, s.285-294



CENTRUM
HUMANISTYKI
CYFROWEJ

Uwrażliwienie. (Fragment większej całości).

Mieczysław Porębski

Świadectwa

Mieczysław PORĘBSKI

Uwrażliwienie (fragment większej całości)¹

wtorek, 9 stycznia 2007, Choszczówka

Święta i po świętach. Również i Noworocznych, ten stary mamy od tygodnia (szczęśliwie? No tak – na szczęście.) za sobą. A więc i po Trzech Królach. W poniedziałkowym, ambitnie reanimowanym („Perły Millenium”) Teatrze Telewizji *Pastorałka* Leona Schillera, od dawna niewznawiana. Zapowiedź można było przeczytać w co piątkowych prasowych dodatkach.

Teatr Telewizji. *Pastorałka* – sztuka Leona Schillera, Polska 2006, reż. Laco Adamik, wyk. Michał Żebrowski, Rafał Królikowski, Grzegorz Damiński. W zimową śnieżną noc sunie barwny korowód górali kołędników. Wśród nich są aniołowie, pasterze, diabeł, turoń i śmierć. Wiodący orszak pukają do drzwi chaty sołtysa. Rozpoczynają swoje przedstawienie, opowiadając historię Narodzenia Pańskiego. Synowa gospodarza odgrywa Marię, organista staje się Józefem (81’)

Kto właściwie grał Marię i inne role kobiece? Obszerniejszy komentarz redakcyjny dorzuca całą „plejadę gwiazd”: Danuta Stenka, Magdalena Cielecka, Agnieszka Grochowska, aktorska młodzież, trudno tak od razu rozeznaczyć kogo, która. Do końca też nie wiadomo, kto zagra świętego Józefa (zagrał go Jan Peszek), a kto ważną rolę Heroda (Zelnik). Kto samego Schillera (spisującego pośród biesiadników ostatnią wersję widowiska, tę z roku 1931). Komponował kolejne wersje trochę sobie muzykując sam, trochę mu przy tym pomagał młody wtedy jeszcze, ale już świetnie się zapowiadający Jan Maklakiewicz.

Leon Schiller – człowiek legenda. Zaraz po wojnie proponował Tadeuszowi Kantorowi, że go weźmie do siebie, do swojego łódzkiego teatru, nauczy porządne-

¹ *Wakacje Sinobrodego* – w zapowiedziach Wydawnictwa Literackiego w Krakowie.

go reżyżerskiego rzemiosła. Nic oczywiście z tego nie wyszło. Beffer! Teatr ten zresztą wnet mu potem zabrano, zbyt był na widoku, zbyt robiony po swojemu. Jemu samemu nierzucające się w oczy schronienie dał tworzący się właśnie Państwowy Instytut Sztuki, załóżek – kto wie? – przyszłej, centralnej, wiełoddziałowej Akademii. Odpowiednie zadanie powierzone zostało Juliuszowi Starzyńskiemu, który jeszcze przed wojną, jako młody wtedy docent interesujący się sztuką współczesną, trochę aktor (u Osterwy w „Reducie”) został dyrektorem prestiżowego IPS-u (Instytut Propagandy Sztuki); wojnę przetrwał bezczynnie w niemieckim oflagu, po powrocie do kraju ze wzmoczoną aktywnością nadrabiał czas stracony, jak zresztą i inni w podobnej sytuacji – dyrektorujący ministerialnemu departamentowi plastyki Bogdan Urbanowicz, czy później uczeń Le Corbusiera, Jerzy Sołtan. Chętnie widziani, bo nie obciążeni jak inni niewygodną wojenną przeszłością, robili, co mogli. Starzyński na początek objął dyrekturę Biura Współpracy z Zagranicą w MSZ. To właśnie on razem z Urbanowiczem wyprawiali mnie w 1948 na francuskie stypendium do Paryża, ostatniego, któremu to się wtedy udało. Kiedy z niego wróciłem, wszystko było już inaczej, Bodzio wycofał się na ASP, Juło wziął mnie do montowanego przez siebie Instytutu. Tam dopiero w pełni mogłem docenić klasę Leona Schillera. W Instytucie stał się wzorcowym dla wielu z nas autorytetem, przyjazny nam potrafił skutecznie wesprzeć w trudnych, tych nie brakowało, sytuacjach. Założyciel „Pamiętnika Teatralnego” uczył, że w każdych warunkach robić można coś pożytecznego. Teatru już mu nie było dane odzyskać, umarł w roku 1954, gdzieś na wiosnę. Nie doczekał odwiłży, która by mu może ten jego teatr, na czas jakiś przynajmniej, do takich czy innych marcowych *Dziadów*, przywróciła.

Została po nim *Pastoralka*. Zobaczona na nowo i po dzisiejszemu przez Laco Adamika. A w niej zagrany niepokojąco prawdziwie przez „Faraona” Zelnika Król Herod. Podstępnie i jakże na pozór inteligentnie paktujący z trzema trochę nie z tej ziemi mędrkami, a potem nieopatrznie wydający wyrok na nowonarodzonego własnego syna. Ci jego zbirowie tyłko na to czekający. Ta skamieniała z bólu jak antyczna Niobe Herodowa. I ta nad nimi śmierć z kosą. Jak z Małczewskiego. Ale żywa, nieporównanie przez to piękniejsza. Przetowłosa, tę druga kosę upięła sobie wokół głowy ni to w złoty kask (z jakiego to oglądanego niegdyś filmu?), ni to w weselny czepiec. Niechybna, gdy z nagłą uderza. A jej miejsce zajmuje przyczajony za tronem Czarny Książę tego świata. Fortynbras.

środa, 10 stycznia

No, Szekspira to nie mieliśmy. Ani jego „Globu”. Ale aktorów wędrownych i swojaków, którzy potrafią zagrać, co trzeba, a i ułożyć na poczekaniu mrozący krew w żyłach, „Kronik Królewskich” godny dramat, choćby o jasełkowym synobójcy Herodzie.

Przekonał nas o tym, czy prawie przekonał swą *Pastoralką* zmarły pół wieku temu Leon Schiller, a Laco Adamik i jego aktorzy po nowemu, bo za pośrednic-

twem szklanego ekranu nam o tym przypomnieli, inaugurując odnowiony Teatr Telewizji, oby na dłużej, bo jak będzie z oglądalnością – 81 minut, bez reklam?

Inne horrory dzisiaj wiążą oczy, inną wrażliwość (jeśli coś z niej jeszcze pozostało) poruszają.

A śmierć kosi. Nie taka już piękna, jak tamta, Kantorowej raczej Sprzątacze (z reporterskim, fotograficznym sprzętem) podobna. Grał ją w spektaklach Cricot 2 Staszek Rychlicki. A zapowiadał w całej dotykanej naoczności „Kosiarz”, *Le Faucheur* Pabla Picasso.

Był rok 1943. Północna Francja z Paryżem okupowana przez zwycięską (do czasu) Trzecią Rzeszę. Początek marca, poeta Robert Desnos (wspominający z nostalgią zapierające dech kolorowe okładki zeszytowych Fantomasów sprzed pierwszej wojny światowej, która to wszystko zatopiła „w łaźni krwi i błota”) schwytany i wywieziony. Max Jacob aresztowany, zmarł po tygodniu, bo był Żydem, w obozie w Drancy. Montowano jakąś zbiorową interwencję u Abetza. Podobno skuteczną, ale niestety spóźnioną. Picasso się nie włączył. Zastanawiano się, czy się bał, czy raczej pozostawał w przeświadczeniu, pewno słusznym, że tylko by zaszkodził. Ciała nie wydano.

W zaprzyjaźnionym, dobrze zakamuflowanym domu Michela i Louise (była córka Kahnweilera) Leirisów trwały próby *Pożądania schwytanego za ogon*, groteski scenicznej, którą Picasso pisał w latach trzydziestych. Sam spektakl miał miejsce z początkiem kwietnia, zgromadził cały tamtoczesny intelektualny Paryż. Leirisowie, J.P. Sartre i pani Beauvoir, Camus i J.L. Barrault, Georges Braque z żoną, Dora Maar, Raymond Queneau i Paul Reverdy, Bataille i Lacan, zaprzyjaźniony od lat Brasai, który dokumentował fotograficznie kolejne fazy powstawania *Guerniki*; krajan i przyjaciel od zawsze, Jaime Sabartès, najskrzетniejszy ze skrzетnych mitograf artysty. Znacząco uczestniczący w całej imprezie słynny pies autora groteski Kazbek. Ze zwierzętami zawsze jakoś łatwiej było mu się porozumieć jak z ludźmi. Mimo że nigdy nie był sam, zawsze otoczony. Czy może dlatego właśnie.

I panicznie podobno bał się śmierci. Nie mówił o niej, nie chodził na pogrzeby. Nawet najbliższych. Nie zatelefonował.

Ten Kosiarz zrobił mu się jakby mimochodem, jakby sam, z tego, co znalazło się pod ręką. Pisząc o nim, André Malraux dopatrywał się w jego roztańczonych odnóżach splotu gałęzi, a w rękach, które zaraz poderwą kosę ku niebu, jakichś wegetatywnych kikutów. Natomiast w jego „cyklopiej” głowie rozpoznał kształt wyjętej z piekarnika piaskowej babki przyozdobionej „słoneczkiem”. – Ale w środek wcisnął – przypomina Jacqueline – maleńką trupią czaszkę.

Rzeźbę utrwalono początkowo w gipsie, potem kościaną biel gipsu zastąpił metaliczny połysk brązu odlanego z gipsowej „duszy” na stracony воск (*à cire perdue*). Dotykalny i kuszący.

Sam twórca wypowiadał się na temat tej rzeźby niechętnie: kosiarz to kosiarz. I dodawał po chwili zastanowienia, że mógłby być z niego pomnik dla Baudelaire’a. Jego *Kwiatów złota*. (Które trzeba wykosić?)

– Biedny Paulito – westchnie Jacqueline, oprowadzając Malraux po zamku

w Vauvenaragues. Pochowała go tam sama, bez świadków, u stóp legendarnej Góry Sainte-Victoire. (Którą wraz z zamkiem i całą ośmiusethektarową posiadłością zakupił był na własność).

(– Gratulacje, którą? – zapytał, przekonany, że chodzi o słynne cézanne’y, Kahnweiler, któremu Picasso nie omieszkał pochwalić się telefonicznie. – Nie, nie prawdziwą, Za gotówkę. – odpowiedział. Nie lubił banków, zawsze miał przy sobie na wszelki wypadek walizkę upchaną zwitkami banknotów. Fantomas).

*

Dobrze. Wracając jednak do wczorajszych *Pastorałek*. Wczorajszych, przedwczorajszych, ale nie tylko, bo głęboko i na wiele różnych sposobów zakotwiczonych w oddalającej się coraz dalej i dalej przeszłości.

czwartek, 11 stycznia

Wczorajszych. Wczoraj zobaczonych, ale nie od wczorajszego wieczoru się zczynających. I tu bowiem nie obeszło się bez różnych przygotowawczych, poprzedzających je kroków, kwerend, przymiarek, lektur, zaoczeń (jak zahaczeń, zahaczyć pamięcią o coś już od dawna i to bardzo dawna różnymi sposobnymi środkami u-naoczniane).

Przy tworzeniu spektaklu, ale i przy jego odbiorze. Na przykład Kantora *Umarłej klasy* z jej godną picassowskiego Kosiarza, uwijającą się po tym, jak i po innych inscenizacjach Tadeusza Sprzątaczką.

Poczynając (tam działa jeszcze potajemnie, z ukrycia) od Tadeuszowej (i Słowackiego), szekspirowskiej w założeniu (ale tylko w założeniu) *Balladyny*. Wystawianej konspiracyjnie w tym samym roku, w tych samych nawet miesiącach, co na drugim końcu Europy paryski spektakl Pabla Picassa zrealizowany wspólnymi siłami przez jego otoczenie pod batutą pono komentującego głośno *mise-en-scène* Camusa. W domu Leirisów, w samym sercu Dzielnicy Łacińskiej, przy rue des Grands-Augustins 53 bis.

Krakowski teatr Tadeusza Kantora też ulokował się w samym środku miasta, przy ulicy Szewskiej 21, w mieszkaniu Ewy Siedleckiej (ukończyła grafikę na ASP, w *Balladynie* grała matkę). Był tam duży salon od frontu, scena i widownia zarazem. Od długiego ciasnego podwórza, w amfiladzie dalsze pomieszczenia, kuchenne schody na drugim końcu, na styku z sąsiednimi posesjami. Było w razie czego jak i gdzie ewakuować publiczność (trzydzieści do czterdziestu osób) i aktorów. Od Szewskiej ubezpieczał próby i spektakle ksiądz Marcin Siedlecki, kuzyn Ewy. Spacerował po chodniku z brewiarzem w dłoniach, w razie czego miał ostrzec. Ksiądz Marcin też, przejmując funkcję inspicjenta, wypożyczył od siebie, z kościoła Panny Marii, żałobny całun, który otoczył kirem pół sceny izolując ją od zewnątrz, od okien, a od wewnątrz zatapiając we wszechogarniającej mrocznej czerni. Oświetlone (udającą reflektor żarówką) było samo tylko miej-

sce akcji toczącej się wokół srebrzystej, abstrakcyjnej Formy obdarzonej pobrękującym gdzieś spoza niej metalicznie (bo mówionym przez Angelikę Kraupe do blaszanej miednicy) głosem wodnej nimfy Goplany. Nie było kulis. W ślepej przewiązce łączącej salon z oficynami stało pianino, przy jego dźwiękach (poloneza Szopena) korowód aktorów, przeciskając się przez publiczność, wkraczał na salę, a potem ją opuszczał, wszyscy pospołu – ludzie i duchy, żywi i ożywający pomordowani.

Na mieście uznanym przez okupanta za praniemieckie panował względny spokój, inaczej niż w niepokornej Warszawie, skąd ktoś (esencjasta Marczak=Oborski) przywiózł w sam dzień premiery relacje o niedawnym zamordowaniu manifestującego samotnie pod pomnikiem Kopernika kolejnego redaktora „Sztuki i Narodu”. Taki był ich sznyt – słynne oficerki.

W Krakowie przyjęty był kamuflaż: roboczy ferszalunek z pokrzywy, jakiś płaszcz, szalik, kapelusz; przyplątana skądś (chyba jednak z Warszawy) mantra:

Gdy idę pod wiatr,
gdy idę pod deszcz,
z podniesionym
do góry
kołnierzem,
z przyklejonym
do warg
papierosem,
spotykam
Ją
i mówię
Dobry
wie
czór.

Panie na czarno albo „na Marlenę” (Emilię Plater?), na nogach sznuraki na drewnianym koturnie, możliwie pojemna torebka przez ramię. Włosy w lokach, wysoko upięte albo przeciwnie, przystrzyżone (fryzjerską brzytwą) po męsku.

Była wczesna, niemal jak teraz wiosna, na śródmiejskich słupach ogłoszeniowych plakatowano kolejne listy katyńskie, przystawano przy nich w milczeniu, nikt chyba nie byłby w stanie uwierzyć, że to nie sowioci tylko sami Niemcy.

Przystawała również, zawsze z kimś z nas, Lila Krasicka (wtedy jeszcze Proszkowska), która w *Balladynie* grała trudną, tytułową rolę baśniowej zbrodniarki. Szukała na tych listach nazwiska swego lwowskiego narzeczonego (przed wojną zaczynała studia we Lwowie), syna znanego podolskiego potentata, porucznika rezerwy świeżo po podchorążówce, Jontka Jaroszyńskiego.

Znalazła. – No tak. – powiedziała. – Wracajmy na Szewską.

*

W prasie codziennej i tygodniowej wciąż jeszcze noworoczne refleksje, oceny, prognozy. Odkładam je na jutro. Na dziś wystarczy.

piątek, 12 stycznia

Od czego zacząć? Od dwu wypowiedzi najbardziej mi po drodze. Obie z „Poli-tyki”. Olgi Tokarczuk i Marka Krajewskiego.

Pani Olga Tokarczuk w swej ostatniej, świeżo wydanej książce (mam ją właśnie pod ręką) nie tylko ożywia prastary, pasjonujący wyłącznie, zdawać by się mogło, wąskie grono badaczy mit o zstępującej do „grobowców świata” prabogini i to ożywia w sposób wykraczający daleko w przyszłość poza naszą z nim współczesność, ale go w każdym, do najdrobniejszego, fragmencie, w każdym unaocznionym szczególe wręcz dotykalnie urealnia. Tej opowieści (mit jest opowieścią i tylko opowieścią) się nie czyta, w tej opowieści się u c z e s t n i c z y.

Jak w rytualnym obrzędzie. Bo też jak wszystkie rytuały, wszystkie rozpisane na cztery pory roku liturgie jest on jego urealnieniem właśnie. Żeby w ten sposób podtrzymać ich coroczne – wiosna, lato, jesień, zima – a wcale nie do końca konieczne następstwo.

Bo inaczej pomieszać się może wszystko, wpaść w groźną, klimatyczną czy inną turbulencję i w rezultacie pograć w chaosie całe kontynenty.

Jak w opowieści o grobowcach świata. Stąd zeszłoroczne anomalie pogodowe (i inne) budzą u jej Autorki – trochę pomimo wszystko rozbawione – zaniepokojenie. Które narastało i u mnie, gdy po lodowatej zimie, po koszmarnym lecie z końcem listopada zakwitły pod moim oknem w Ustroniu pierwiosnki (*primula veris*), a naprzeciwko wielka choinka, która rośnie przy rynku, rozbliły girlandami różnokolorowych lampek jakby Gwiazdka była tuż. A przecież dopiero co święcono Zaduszki, roilo się, jak to u nas, od wspominkowych rocznic i rocznic rocznic, kończyły się spektakularne wakacje, już nie te doroczne, szkolne, ale te, które dla zmęczonej ostatnią, ale i tą przedostatnią wojną Europy zaczęły się z łaski zwycięzców dobre pół wieku temu, a trwały do połowy lat osiemdziesiątych minionego nie tak znowu dawno, stulecia.

Nie bez rezultatów zresztą, czasem groźnych, niepokojących czy już tylko właśnie śmiesznych, czasem takich jak zawsze, obojętnych, nierzadko jednak i takich, które świadczą, że nie był to czas całkowicie stracony, że coś po nim, nie tylko złom żelazny i ten śmiech pokoleń, jednak pozostanie.

Tą też drogą poszedł Marek Krajewski, bilansując nie całe, co prawda, ubiegłe stulecie, ale jeden tylko dopiero co miniony rok następnego, jego ewidentnie negatywne remanenty, jego nie tak rzucające się w oczy, ale cenne pozytywy (książki jeszcze się wydaje i czyta) czy wreszcie przejawy rokującej pewne nadzieje na przyszłość, choć może nie taką, jakiej byśmy sobie życzyli, normalności.

Prognozy bowiem mogą być różne.

sobota, 13 stycznia

Na dziwnie opustoszałym Nowym Świecie spotyka się dwu dawnych znajomych.

– Kopeć lat, stary! Mówże, co u Was. Bo odgłosy są różne. Wiec pomyślałem: pojadę, sprawdzę.

– No cóż? Za Chińczyków też nie było co jeść, ale nas przynajmniej nie jedli.

– Afrykanie?

– A kto ich wie? Zamaskowani, uszminkowani, trudno się rozpoznać. Ale większość chyba biała. Co raz to ktoś do nich się przyłącza. Chłopcy, dziewczęta. Te co ładniejsze. Różni nawiedzeni, artyści. Nie ma lasu, zagajnika, zarośli, żeby się nie przyczaiłi. Szosą bez obstawy nie przejedziesz. Wyciągną z wozu, skopią i szukają wiatru w połu. Szosy ich. Czasem nawet udaje im się zestrzelić jakiś helikopter. I do tego te tamtamy. Dzień i noc, dzień i noc. Nawet tutaj. Teraz też dwóch takich siedzi na Rondzie pod palmami i bębnią. Słyszałeś? Można ogłuchnąć. Prawo unijne ich broni, bo nieprzystosowani. Jedyne, co nas ratuje, to turystyka. Cała Europa to jedno wielkie muzeum. Więc się zwiedza, pielgrzymuje. A że to niebezpieczne? Jedna atrakcja więcej. Jest zresztą dyskretna ochrona. Chyba zauważyłeś. Powiedz raczej jak u Was. Z mediów wiele tu się nie dowiesz.

– U nas? Da się wytrzymać. Tyłko już mało kto mówi po angielsku. I wszędzie te minarety.

niedziela, 14 stycznia

Przesadziłem? Może trochę. Piszę o tym, co już jest, a nie, co dopiero będzie. Ale katastrofistą nie jestem. Mamy to za sobą. A perkusję, nawet tę mechano, metale, czy jak im tam, bardzo sobie podobam. Night-jazz to nie jest, ale wciąga. Pełni, jakby powiedział Jakobson, funkcję fatyczną: jesteśmy, czuwamy, w razie czego poinformujemy, na razie nic takiego się nie dzieje. Wakacje.

– Sinobrodego?

– Dobre pytanie.

– Fatyczne. Dobre dla mediów. W druku to nie przejdzie. „Podobam sobie” – tak (choć trochę to pretensjonalne). Tamto – za nic.

– Dzięki, Geniuszu. Wracając jednak do rzeczy. Była taka rozmowa. Jak to przy świątecznym stole. O zapominaniu. Zapomina się, i to w najbardziej niestosownym momencie, pojedyncze słowa, nazwiska, daty, twarze; coś, co się kiedyś widziało i nieprędko zobaczy się znowu albo wcale.

Więc opowiedziałem, jak raz po wykładzie chciałem powołać się na van Gogha i wyleciał mi z pamięci: No wiecie państwo, ten od słoneczników.

Podpowiedzieli mi chórem ku ogólnemu zadowoleniu.

– Od słoneczników, nie od ucha?

– ? – (nie dosłyszałem).

– No od ucha, obcięte ucho van Gogha. *Pasja życia*.

– Zależy – Pani Profesor – co się bardziej dla nas liczy. To przekłete życie wyklętego artysty, życie, jak każde, „ku śmierci”, egzystencja, której się nie wybrało, i tak dalej, czy to, co po nim zostanie? Życie, legenda czy dzieło?

– A dla pana?

– Legenda nie jest bez znaczenia, ale jednak dzieło. Rozbudzona przez nie – pytanie, na ile trwale? – odbiorcza i twórcza wrażliwość.

Świadectwa

– Neurolingwista powiedziała, że dochodzi w ten sposób do głosu prawa półkuli mózgowa odpowiedzialna za jakość odbioru, twórcze myślenie i emocje. A co z „akademicką” łewą, odpowiedzialną za komunikację werbalną i logiczne relacje?

– Cóż? Co nie zostało nazwane, w naszym umyśle komunikującym się z innymi słowami nie zaistnieje. Na początku ludzkiego świata było słowo.

– Dłaczego więc sam sposób odczuwania, sposób myślenia jest dla odbiorców w aktualnym i następnych pokoleniach ważniejszy niż to, co artysta miał do zakomunikowania?

– Bo w końcowym rachunku liczy się odczuwający twórca. Jego i tylko jego słoneczniki, nie ucho. Ucho obciąć może sobie każdy.

poniedziałek, 15 stycznia

O mało wtedy nie dodałem, że na przykład o Picassie też nie powiedziałbym: – No ten co miał siedem żon, tylko: – No ten, który namałował *Guernikę*. Bo i u mnie wzięła była górę legenda: „Sinobrody”.

Z tym, że ja nie piszę książki o malarzu Pablu Picassie, o jego życiu czy dziele. Nie mam pod ręką trzydziestu trzech tomów Zervosa, który skatalogował cały (prawie) jego dorobek, nie mam wszystkiego, co o nim napisano. (W dobie Internetu byłoby to do zrobienia – dla kogoś młodszego, rzecz jasna). A staram się pisać jedynie o tym, co sam widziałem, albo – sięgając do źródeł – o tym, co inni po swojemu zobaczyli i zarejestrowali.

Piszę o legendzie właśnie, o legendzie, przyjaciółach, oddziaływaniu, o wszystkim tym, co pozwoliłoby go nazwać (tak mi się przynajmniej wydawało) Sinobrodym, gdyby nie to, że tak go nazwać z różnych względów nie sposób. Skąd więc to, kiedyś, skojarzenie? Pytać nie Picassa. Pytać tamtego. Sinobrodego.

wtorek, 16 stycznia

Znaliśmy go od dziecka. Z bajki Perraulta. Trochę tylko straszny, wystarczająco tajemniczy, posłuchać i zasnąć. Nie to, co jego prototyp. Którym nie mógł się nie zainteresować poszukujący prawdy historycznej wiek XIX, po nim modernistyczny symbolizm, no i nasz wiek XX, dziś już też tylko historia, równie odległa, równie zawoalowana.

Spojrząc jej twarzą w twarz próbował wtedy, na żywo, Georges Bataille, bardziej może penetrujący ciemności wizjoner niż poprzestający na faktach annalista, w tym przypadku jednak zdecydowany samo-się-ograniczyć do opublikowania, skomentowania i poprzedzenia szczegółową kroniką wydarzeń źródłowego tomu *Procès Gilles'a de Rais* (*Le procès de Gilles de Rais*, Jean-Jacques Pauvert éditeur, 1965).

środa, 17 stycznia

Zaczynając od legendy, od tego, jak był odczytywany.

Przedrukowana przez Bataille'a w dziewiętnastowiecznej wersji Pierre'a Larousse'a legenda bretońska opowiada, jak to pan Gilles de Laval, zmęczony wojowaniem z Anglikami (u boku Joanny d'Arc) wycofał się do swojego zamku de Rais, gdzie czas mile mu schodził na nieustannych festynach i używaniu życia wśród gości i przyjaciół. Znalazł się wśród nich także przejeżdżający w pobliżu hrabia Odon de Trémerac z narzeczoną, Blanką de Heminière. Do której baron de Rais zapłonął tak wielką miłością, że hrabiego de Trémerac kazał swoim zbirom wtrącić do zamkowych lochów, a pannę de Heminière poprosił niezwłocznie o rękę. Kapelan już czekał. Panna wzdragając się, płakała, broniła, mimo że pan de Rais obiecywał jej złote góry, stroje, klejnoty, całą swą majątność. Ustąpiła dopiero, gdy zaproponował jej w niewolę samego siebie z duszą i ciałem. Co zaprzysiągł przed ołtarzem, ledwie jednak kapelan związał im dłonie stułą, panna wróciła do swej właściwej postaci, odrażającego lazuruowo-błękitnego diabła, który zaśmiał się zło-wrogo – cytując:

– Bóg ma dość twych niecnych uczynków baronie Gilles de Laval. Teraz należysz do nas i odtąd nosił będziesz naszą liberię. – Po czym na jego znak piękna czerwona broda barona pociemniała. – Ale to nie wszystko. W przyszłości nie będziesz zwał się Gilles de Laval. Będziesz odtąd Sinobrodym.

czwartek, 18 stycznia

Gilles de Rais, któremu Karol VII zawdzięczał odzyskanie tronu, obdarowany został przez niego w dniu pamiętnej koronacji w Remis, w roku 1429, godnością Marszałka Francji. Miał wtedy lat 25. Gdy dopełniła się miara niecnych jego uczynków i uciech dość szczególnego rodzaju (z okolicznych włości znikali bezpowrotnie urodziwi młodziankowie, porywano też nieletnie dziewczątka) został po sekretnym, dobrze udokumentowanym śledztwie biskupim pojmany i sądzony. Miał lat niespełna 36. W tym samym jeszcze, 1440 roku został na oczach niezmiernych tłumów stracony na zamku du Bouffay przez powieszenie i oddanie martwego płomieniom.

Ale że przedtem wyznał skruszony wszystkie swe zbrodnie i na kolanach, zalewając się łzami, błagał Boga o przebaczenie i przyjęcie grzesznego w grono zbawionych, z mnogich zaś swoich majątności poczynił zbożne dotacje, ciało jego odjęto płomieniom, a panie i panny z najdostojniejszych bretońskich domów złożyły je do kamiennego sarkofagu obok grobowców innych znamienitych osobistości spoczywających u sióstr karmelitanek w podziemiach kościoła Panny Marii w Nantes.

piątek, 19 stycznia

Wzorzec artysty? Raczej negatywny. Ale właśnie dlatego godny uwagi i zastanowienia.

Świadectwa

Abstract

Mieczysław PORĘBSKI,
Jagiellonian University (Kraków)

Sensitisation

Fragments of recollections and notes of the illustrious Polish critic of art and culture expert (forthcoming).